



Dodatek do „Spójni”
nr 2 (30), grudzień, 2025 rok



Marcin Kurabiowski z Niką, fot. Tymoteusz Stawowy

Drodzy Czytelnicy!

Święta i początek Nowego Roku zwykle kojarzą się z ciepłem, bliskością i nadzieją. Warto, jednak pamiętać, że nie zawsze był to czas łatwy i bez troski. W rozmowach zamieszczonych w tym numerze wracamy, zarówno do świątecznych tradycji, które budują poczucie wspólnoty, jak i do doświadczeń stanu wojennego, czyli okresu, w którym nawet najbardziej zwyczajne gesty miały szczególne znaczenie.

Z tej perspektywy życzymy całej społeczności szkolnej świąt świadomych, przeżywanych nie tylko w rytmie zwyczajów, ale też z pamięcią o tych, dla których były one czasem próby. Niech nadchodzący rok przyniesie spokój, wolność myślenia, wrażliwość na historię oraz odwagę w patrzeniu na przyszłość. Oby to był czas, w którym tradycja i doświadczenia minionych lat stały się źródłem siły, a nie tylko wspomnieniem.

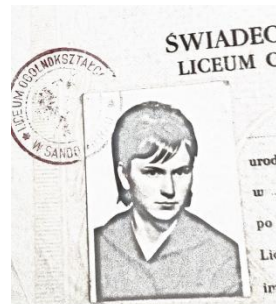
Michalina Gąsiorowska



Moja młodość w Sandomierzu

- *wspomnienia Absolwentki naszej Szkoły*

Dzisiaj, będąc już Seniorką w etapie późnej starości, patrzę na swoje życie z perspektywy przeżytych wielu różnych doświadczeń i niezapomnianych wspomnień, jednak wciąż z nadzieją na przyszłość. Jednym ze wspomnień, które pozostały w moim sercu, to czas spędzony w Liceum na ul. Jana Długosza w Sandomierzu. Moi rodzice zmarli bardzo wcześnie, jednak wartości etyczne wyniesione z domu takie jak: sumienna praca i szacunek do otaczającego świata czy darów przyrody oraz profilaktyka zdrowia idą ze mną przez całe moje życie. W Liceum nauczono mnie szacunku do nauczycieli i przekazywanej przez nich wiedzy oraz uświadomiono wagę zdobytego wykształcenia. Przełożyło się to na moją chęć nauki przez całe życie. Już na emeryturze od wielu lat uczęszczam na Uniwersytet Trzeciego Wieku, w tym na zajęcia dotyczące zdrowia i ziołolecznictwa prowadzone przez Wydział Nauk Farmaceutycznych, zainspirowane przez, nieżyjącego już niestety, pasjonata i badacza prof. Krzysztofa Jędrzejko.



Na sandomierskiej ziemi zrodziły się również moje zainteresowania literaturą, kulturą i sztuką. W zakresie literatury – Stefanem Żeromskim, któremu ziemia sandomierska również była bliska, a do którego dzieł wciąż wracam. W zakresie sztuki – historią filmu polskiego, wielkich dzieł i gatunków filmowych zrealizowanych w Sandomierzu.

W 1965 roku zdałam maturę i wyjechałam na Śląsk, gdzie podjęłam pracę zawodową. We wrześniu tego roku po 60 latach odwiedziłam Sandomierz wraz z córką, która jest wykształcenia psychologiem i kulturoznawcą. Córka zachwyciła się tym miastem i doceniła jego niepowtarzalną wartość estetyczną.

Siedząc nad Wisłą, spotkałam kilka osób, które również ukończyły to samo liceum, a ja miałam okazję, by na żywo opowiedzieć córce o miejscach związanych z moimi przyjaźniami i wspólnym spędzaniu wolnego czasu, kiedy to biegaliśmy nad Wisłę po schodach. A to przecież wciąż te same schody i ta sama Wisła płynie po sandomierskiej krainie. Zwiedzałyśmy także inne miejsca w Sandomierzu, a o historii miasta opowiedziała w bardzo ciekawej formie oprowadzająca nas pani Przewodnik, a ja pomimo podeszłego wieku przeszłam miasto, w tym Wąwóz Królowej Jadwigi na własnych nogach.



Autorka wspomnienia w Górach Pieprzowych w wrześniu 2025 roku.

Będę polecała Sandomierz na Śląsku jako piękne miasto do relaksu, zwiedzania i podziwiania. Pomimo że wróciłam tutaj dopiero teraz po tylu latach, to kiedy Sandomierz został zalany zorganizowałam zbiórkę i zawsze wspierałam dobrami myślami i wspomnieniami, zauroczona pozostającym w sercu na zawsze miastem mojej młodości.

Korzystając z okazji, chciałabym wraz z moją rodziną złożyć życzenia zdrowych i wesołych świąt Bożego Narodzenia, a na Nowy Rok szczęścia i pomyślności dla Dyrekcji, całego Grona Pedagogicznego, Uczniów i Absolwentów.

Z serdecznością
Henryka

Radość z nadchodzących świąt była większa....

Wywiad z Babcią – Wiesławą Gawron – urodzoną w 1948 roku, mieszkanką Bożegodaru, emerytowaną nauczycielką.

Martyna: Dzień dobry! Dziękuję babciu, że zgodziłaś się opowiedzieć o tradycjach i zwyczajach bożonarodzeniowych i karnawałowych w Twoim dzieciństwie.

Babcia: Cieszę się, że mogę podzielić się moimi wspomnieniami z dzieciństwa.

M: Jak wyglądały przygotowania do Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia, gdy byłeś dzieckiem?

B: Wczesne moje dzieciństwo przypada na początki lat pięćdziesiątych XX wieku. Zdecydowanie radość z nadchodzących świąt była większa niż teraz. W latach mojego dzieciństwa nie było światła. Dopiero gdy byłam w siódmej klasie, moją miejscowość zelektryfikowano. Do tej pory za źródło światła służyły lampy naftowe. Pomieszczenia ogrzewały piece i kuchnie kaflowe. Rano, gdy temperatura spadała, często na oknach był wzorzysty mróz. Przed świętami robiliśmy generalne porządki. W każdym domu wyrabiano wyroby mięsne. Lodówek nie było, więc wyroby zasałano i peklowano, a kielbasę zalewano smalcem. Babcia z mamusią piekły chleb i placki. Wsadzano je hurtem do dużego pieca kaflowego.

M: Jakie potrawy i w jakiej ilości przygotowywano na wigilijną wieczerzę?

B: W moim dzieciństwie nie było na stole wigilijnym tradycyjnych 12 potraw. Pamiętam, że był barszcz z kaszą gryczaną, pierogi z kapustą i grzybami, susz, ryby smażone i marynowane. Mieszkaliśmy nad Wisłą, rybacy pływali łódkami, zarzucali sieci i w ten sposób łowili ryby. Podaż ryb była duża.

M: Ile osób zasiadało przy wigilijnym stole ?

B: Do stołu wigilijnego zasiadało 6 osób, z czasem 5 osób po odejściu babci. Miałam wtedy 8 lat, było to dla mnie duże przeżycie.

M: Jak rozpoczynano wieczerzę wigilijną ?

B: Wieczerza zaczynała się modlitwą, łamano się opłatkiem, składano życzenia. Dla dzieci było to wielkie święto.

M: Jak była udekorowana Twoja choinka?

B: Moja choinka była bajecznie udekorowana, były ozdoby ze sklepu – duże kolorowe bombki, mikołajki, krasnoludki, łąbędzie oraz zabawki robione w szkole na zajęciach praktycznych. Były długie łańcuchy z kolorowego papieru, gwiazdki, zawieszaliśmy orzechy, cukierki, pierniczki, szpic oraz włosy anielskie. Za oświetlenie służyły przyczepne lichtarzyki ze świeczkami, od których często zapalały się włosy anielskie.

M: Jaki był najładniejszy prezent, który otrzymałaś i pamiętasz do dziś?



Wiesława Gawron, fot. Martyna Jarosz

B: W pamięci utkwił mi prezent w postaci lalki. Pamiętam do tej pory, że sukieneczkę miała lalka w granatowo-czerwoną krateczkę. Trochę smutne dla dziecka kolory, ale była duża i piękna. Zazdrościłam kuzynce, bo dostała taką samą, ale sukienka była różowa.

M: Co najbardziej Babciu lubiłaś w Święta Bożego Narodzenia?

B: Lubiałam nastrój świąteczny, rodzinne rozmowy, zapach choinki. Podkradanie cukierków z choinki i prawdziwą zimę. Cieszyliśmy się dużą ilością śniegu i zabawami na śniegu.

M: Jak spędzaliście pierwszy i drugi dzień świąt ?

B: Obowiązkowo wszyscy chodziliśmy do kościoła, który był oddalony 3 km od domu. Czasami saniami byliśmy podwożeni, a później pieszo. Czas spędzaliśmy z rodziną. Było bardzo wesoło.

M: Jakie zwyczaje dotyczyły zwierząt podczas Wigilii?

B: W zestawie opłatków białych były też różowy kolor. Ten opłatek zanosilo się zwierzętom domowym symbolicznie.

M: Jakie były Twoje ulubione słodkości bożonarodzeniowe ?

B: Najbardziej lubiałam pierniczki miodowe, sernik i makowiec, który na górze miał krateczkę z ciasta.

M: Czy w Twoim domu śpiewano kolędy i która była Twoja ulubiona?

B: W moim domu śpiewano kolędy różne. Moją ulubioną była „Lulajże Jezuniu”. Z ciekawością słuchałam, jak mój dziadek śpiewał kolędy archaiczne ze swojej młodości, które nie były znane. Atrakcją w moim domu był patefon. Bardzo lubiałam



słuchać melodii. Mieliliśmy dużo płyt starych przebojów. Do dziś mam ten patefon. Opowiadali mi, że jako dziecko dostałam ten patefon, bo lubiałam tańczyć. Dziadek wcześniej grał dla mnie na organkach, a za perkusję służyła mu krawędź łóżka.

Pięcioletnia Wiesława Gawron (drugi rząd od dołu, trzecia z prawej, dziewczynka w jasnej sukience z czarnymi warkoczami) na choince w zakładzie pracy swojego taty – Spółdzielni Warzywno-Ogrodniczej na ul. Kolejowej w Dwikożach, 1953 rok

M: Jak wyglądał karnawał w Twoich czasach ?

B: W czasie karnawału odbywały się choinki szkolne oraz w zakładach pracy u rodziców, tam otrzymywaliśmy poczęstunek, najczęściej to było kakao i pączki oraz pączki z prezentami: słodczyce i obowiązkowo książeczkę z serii „Poczytaj mi mamo”. Po Nowym Roku chodzili kolędnicy poprzebierani w różne postacie, śpiewali, recytowali wiersze, za co otrzymywali pieniążki lub coś słodkiego. Było bardzo wesoło.

M: Jakie były popularne tańce w czasie karnawału wśród dzieci?

B: Tańce najbardziej popularne to krakowiak, polka i inne ludowe tańce na choinkach szkolnych.

M: Czy przebieraliście się z koleżankami w czasie karnawału?

B: Na choinkach szkolnych przebieraliśmy się z koleżankami w stroje, które najczęściej przygotowywały nam mamy np. czapkę muchomora, postacie z bajek, np. za Czerwonego Kapturka, itp. Natomiast na choince w zakładzie pracy taty otrzymywaliśmy gotowe stroje szyte na te potrzeby, które po zabawie zwracaliśmy. Zawsze było wesoło choć dużo skromniej niż w dzisiejszych czasach.

M: Dziękuję bardzo za udzielenie wywiadu i poświęcony czas. Bardzo się cieszę, że przybliżyłaś mi dawne zwyczaje i obyczaje bożonarodzeniowe i karnawałowe.

Martyna Jarosz

Bardzo tęsknię za tamtymi czasami...

*Wywiad z Sąsiadką Panią Danusią, która ma 78 lat,
na temat Świąt Bożego Narodzenia z czasów dzieciństwa na Śląsku.*

Dzień dobry, czy może mi Pani opowiedzieć, jak wyglądały kiedyś obchody Świąt Bożego Narodzenia?

– Tak, oczywiście. Już 6 grudnia przychodził do nas Święty Mikołaj i zostawiał nam skromne prezenty pod poduszką: piżamy, szaliki, czapki, rękawiczki.

Jak wyglądały przygotowania do Wigilii?

–Wszyscy w domu pomagali w porządkach, każdy miał jakieś zadania do wykonania.

Czy była ubierana choinka i jak wyglądała?

- Choinka była ubierana w dniu Wigilii, żywe drzewko, zdobione ręcznie: łańcuchami, ozdobami z papieru. Świecek na choince były palone ręcznie, a przy tym było mnóstwo zabawy i śmiechu, każdy musiał pilnować, żeby choinka nie zapaliła się od ognia.

Jak wyglądała kolacja Wigilijna?

- Każdy musiał się umyć, ubrać odświętnie, a przed kolacją było dzielenie się opłatkiem i życzenia. W domu byli rodzice, rodzeństwo i dziadkowie.



Jakie Pani pamięta potrawy z tamtych czasów? Co jedliście wtedy na Wigilii?

- Zupa grzybowa, barszcz biały, kasza jaglana ze śliwką (która była bardzo niedobra), była też ryba i pierogi z kapustą.

Co było potem?

- Potem było śpiewanie kolęd i rozmowy.

Widzę, że się Pani wzruszyła?

- Bardzo tęsknię za tamtymi czasami, za rodziną i rodzeństwem. Chciałabym jeszcze kiedyś przeżyć takie święta jak wtedy. Teraz są inne czasy, każdy się spieszy i nie ma na nic czasu. Wtedy to były prawdziwe rodzinne święta.

Czy chodziliście do Kościoła na pasterkę?

-W nocy starsze rodzeństwo szło do Kościoła 7 km. To było bardzo daleko, a ja byłam za mała. Małe dzieci zostawały z rodzicami w domu.

Jak wyglądały kolejne dni świąt?

-Starszy brat robił samodzielnie drewnianą szopkę, przebierał się za diabełka, miał rogi i widełki. Chodził od domu do domu i śpiewał kolędy.

Sam czy było więcej osób?

- Było ich czasem po kilka osób w grupie. Były zabawy, śmiech. Dostawali cukierki.

A jak wyglądał drugi dzień świąt?

- Do domów przychodził Gwiazdor. Można było dostać prezent, ale za coś, trzeba było coś zrobić - zaśpiewać kolędy, powiedzieć wierszyk czy modlitwę.

Czy coś jeszcze Pani pamięta?

- Tak, oczywiście. Wtedy całe rodziny odwiedzały się, chodziło się po domach. Każdy się cieszył, świętował.

Czy świętowało się Nowy Rok?

- Tak,

Do kościoła szedł każdy na godzinę 11.

Czy były jakieś zabawy?

- Oczywiście, ale to była zabawa w Nowy Rok. Nasz dom był naprzeciwko remizy. Ja, jak miałam jeszcze 12 lat, to pilnowałam młodsze dzieci, a moje starsze rodzeństwo i rodzina byli na zabawie. U nas w domu ludzie zostawiali palta, buty i szli na zabawę.

Widzę, że miło Pani wspomina ten czas.

- Tak, masz rację. Dziękuję Ci za rozmowę i że mogłam powspominać sobie tamte czasy.

Mateusz Chorab

Rano, przed szkołą, chodziłam na roraty...

*Wywiad z moją osiemdziesięcioletnią babcią
Barbarą Lisowską-Paterek.*



Lena Szubert ze swoją Babcią – Barbarą Lisowską-Paterek, grudzień 2025 rok

- Babciu, opowiedz mi, jak wyglądały przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, gdy byłaś dzieckiem?

- Jak sięgam pamięcią do mojego dzieciństwa w okresie adwentu, rano przed szkołą, chodziłam na roraty. Te poranne nabożeństwa były zupełnie zjawiskowe. Szliśmy z lampką po ciemku. W kościele też było ciemno. Połyskiwało tylko światelko świeczek. Powrót do domu, szybkie śniadanie i do szkoły. I tak każdego dnia. Ponieważ byłam jedynaczką, w przygotowaniach do świąt pomagałam mamie sama. Szczególnie w pracach kuchennych: gotowaniu, pieczeniu i robieniu pierogów, które do tej pory kleję bardzo szybko.

- Czy Wigilia też wyglądała inaczej niż obecnie?

- Rano w dzień wigilijny ubieraliśmy choinkę. Nigdy wcześniej. Jak inaczej ona wyglądała. Łańcuch zrobiony z kółeczek, a drugi z bibulek ze słomką. Obowiązkowo bibułkowe gwiazdki, języki, kapustki, a także pieczone pierniczki, orzechy zawijane w złotko, przy pniu jabłuszka, gdzieś tam błyszczące szklane bańki i zamiast elektrycznych migających lampek, świeczki przypinane na blaszanych żabkach do grubszych gałązek. Cała choinka była pokryta anielskimi włosami. Kiedy świeczki się paliły, trzeba było bardzo uważać, żeby anielskie włosy nie zapaliły się. Nierzadkie w tamtych czasach były pożary choinek i firanek. Na Wigilię przychodziła cała rodzina. W największym pokoju siedziało nas 20-25 osób. Potraw obowiązkowo było 12. Akurat ten zwyczaj w naszej rodzinie nie zmienił się.

- A prezenty? Czy dawaliście sobie jakieś podarunki?

Prezenty pod choinką również wyglądały inaczej niż dzisiaj. W większości sami przygotowywaliśmy sobie nawzajem różne rzeczy. Były to: czapki, rękawiczki, wełniane skarpety, sweterki. Rzadko dostawałam zabawki. Pamiętam pierwszą szmacianą lalkę z długimi nogami, którą mama po kryjomu przede mną ręcznie szyła.

- Czy na Wigilii kończyliście świętowanie?

Nie. Po Wigilii obowiązkowo szliśmy całą rodziną na pasterkę. Pasterka była tylko w jednym kościele, w katedrze. W kościele było tak ciasno, że często trzeba było stać na zewnątrz, a mrozy były wtedy siarczyste. Pierwszy dzień świąt obowiązkowo spędzało się w gronie najbliższej rodziny, ale już w Świętego Szczepana - Drugi Dzień Świąt, odwiedzaliśmy po kolei całą naszą dużą rodzinę. Do domu wracało się wieczorem z pełnym żołądkiem, od próbowanych u wszystkich ciotecznych ciasteczek.

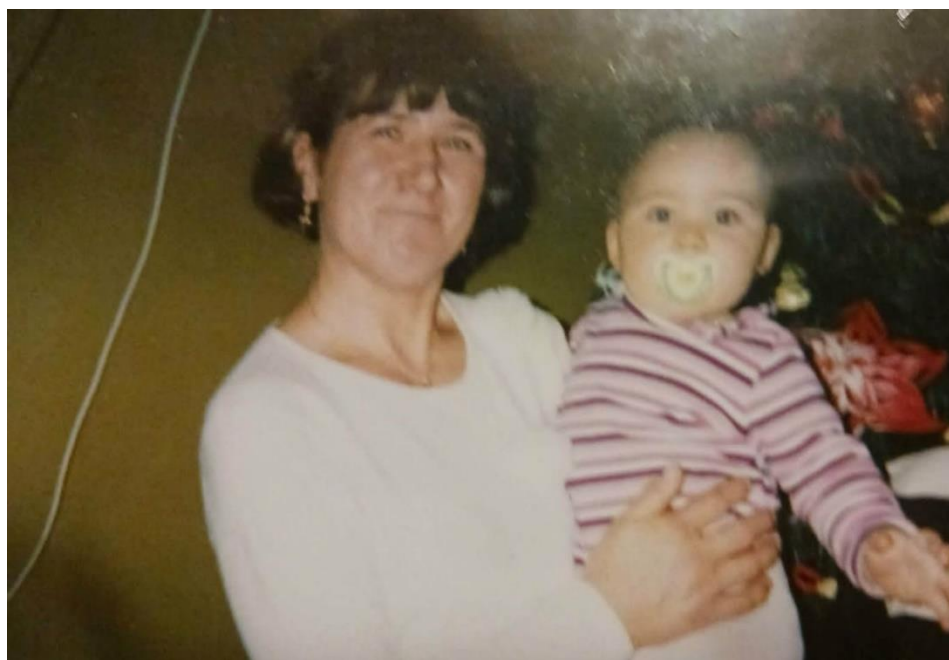
- Pamiętasz jeszcze coś, co jest odmienne od tego, jak dziś obchodzimy Boże Narodzenie?

- Pamiętam kolędników. Odwiedzali po kolei wszystkie domy. Przychodzili w dużych grupach, poprzebierani. Była śmierć z kosą, herod, Maria z Józefem i dzieciątkiem, pastuszkowie. Mieli ze sobą dużą kręcącą się kolorową gwiazdę, w której świeciła się świeczka. Wizytę kończyli śpiewką: „Za kolędę dziękujemy, zdrowia szczęścia wam życzymy, a żebyście długo żyli, a po śmierci w niebie byli”. Jeśli nie dostali ostatecznie dużo ciastek czy cukierków, zakończenie brzmiało „...a po śmierci się smażyli.” Teraz kolędnicy rzadko odwiedzają domy i są poprzebierani.

- Dziękuję Babciu za te wspomnienia.

Lena Szubert

Wspomnienia Babci Ireny na temat stanu wojennego w Polsce



Matylda Kunys ze swoją Babcią, 2011 r.

Pamiętam, że 13 grudnia 1981 roku było bardzo zimno, około minus dziesięciu stopni, wszędzie leżał śnieg, który padał od kilku dni. Tego dnia nie pokazano w telewizji "Teleranka", nadawanego w niedzielne poranki o godzinie dziewiątej. Zamiast programu dla dzieci i młodzieży, zaczęto emitować przemówienie generała

Wojciecha Jaruzelskiego. Jego treść była następująca: "Obywatelki i Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do Was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom, ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju". Generał Jaruzelski podkreślał, że jest to stan tymczasowy, przemawiał spokojnie, mówił o zapewnieniu bezpieczeństwa obywatelom. Do dziś dokładnie pamiętam jego słowa.

Wiadomość o ogłoszeniu stanu wojennego była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Niedzielnny ranek zamienił się w koszmar, w domu zapanowała atmosfera niepewności i lęku. Wystąpienie generała Jaruzelskiego zburzyło nasz spokój. Staralam się wytłumaczyć dzieciom, co się dzieje w kraju, jak się trzeba zachowywać, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Wszyscy byliśmy bardzo zaniepokojeni.

Wyłączono telefony, a listy zaczęły podlegać cenzurze. Wprowadzono godzinę milicyjną, która obowiązywała od 22:00 do 6:00, a na wyjazdy poza miejsce zamieszkania wymagana była przepustka, na przykład na nocną zmianę do pracy. Taki dokument wydawała Milicja Obywatelska, bardzo skrupulatnie go kontrolowano. Jeśli na przykład państwo młodzi organizowali wesele, lista gości z adresami musiała się znaleźć w urzędzie i na milicji. Żeby zakupić obrączki, trzeba było przedstawić odpowiednie zaświadczenie z Urzędu Stanu Cywilnego. Teraz wydaje mi się to absurdalne.

Rozpoczęto także masowe aresztowania działaczy opozycji, którzy byli internowani. Wprowadzono tryb doraźny w sądach, a milicja i wojsko miały prawo legitymować i przeszukiwać obywateli. Wzbudzało to we mnie ogromny niepokój i przerażenie.



Kartki na reglamentowaną żywność

Najbardziej dotkliwe było to, że w sklepach brakowało towarów. Wprowadzono na nie reglamentację w postaci kartek. To było dla nas bardzo uciążliwe, utrudniało codzienne funkcjonowanie. Stan wojenny kojarzy mi się przede wszystkim z długimi kolejkami i ciągłymi staraniami, aby w domu znalazły się podstawowe artykuły.

Zawieszono także działalność szkół i uczelni. Władzę przejęła rada, której przewodniczył generał Wojciech Jaruzelski, stając się głównym organem administracyjnym w państwie. W odpowiedzi na wprowadzenie stanu wojennego, doszło do strajków, które były pacyfikowane przez wojsko i ZOMO. Nikt z nas nie wiedział, kiedy to wszystko się skończy.

Stan wojenny w Polsce został zawieszony dopiero 31 grudnia 1982 roku, a zniesiony 22 lipca 1983 roku. Według mnie, był jednym z najbardziej dramatycznych okresów w historii PRL-u, pełnym strachu i niepewności.

Wspomnień Babci Ireny wysłuchała Matylda Kunys, uczennica klasy 2 DE

Stan wojenny na Ponidziu we wspomnieniach Prababci Henryki

*Wywiad z Prababcią, urodzoną w 1936 roku,
zamieszkałą w Topoli (gmina Stopnica)*



Henryka Sobczyk

Wiktoria: Dzień dobry, Babciu! Dzisiaj skupimy się na Twojej rodzinnej wsi, Topoli, w gminie Stopnica. Jak pamiętasz ten okres, zanim wprowadzono stan wojenny? Czy „Solidarność” dotarła tutaj i zakorzeniła się tak mocno w Waszej małej społeczności?

Prababcia: Oczywiście, że dotarła! Stopnica i pobliskie miasteczka miały swoje oddziały. U nas, na wsi, to było głównie wsparcie dla robotników i walka o godność rolnika. Po protestach rolników w Rzeszowie i Ustrzykach, czuliśmy, że możemy coś zdziałać. Ale jednocześnie byliśmy bliżej ziemi, bliżej tego, co realne. Wiedzieliśmy, że władza nie puści łatwo.

Kiedy przyszedł 13 grudnia, byłam w kuchni. Był mróz, a my szykowaliśmy się do obchodu. Mąż wrócił od sąsiada i powiedział: „Komuna się broni. Zamknęli Polskę.” Nie było radia, tylko ten Jaruzelski w telewizji, u tego we wsi, co miał najlepszą antenę. Ten strach był natychmiastowy. Topola to mała wieś – ale bałam się, że ten strach będzie większy niż w wielkim mieście...

Izolacja i wojskowa kontrola dróg lokalnych

W. Jak blokady wojskowe i godziny milicyjne wpływały na Was, rolników, którzy musieli dojeżdżać do Stopnicy, do pola, albo na targowisko w Busku-Zdroju?

P: To była paraliżująca kontrola. Nie było czołgów stojących przy każdym domu, ale wojsko i milicja stali na głównych szlakach, na przykład przy wjeździe do Stopnicy czy na drogach wylotowych do Buska lub Chmielnika.

Patrole ŻOMO i upokorzenia

P: Ci funkcjonariusze ŻOMO byli najgorsi. Zimni, z pałkami. Mieli samochody z plandeką i jeździli. Pamiętam, jak zatrzymali mojego sąsiada na drodze powiatowej, bo jechał po nocy konnym wozem. Tylko, że on jechał, bo musiał ratować chorego konia! Skonfiskowali mu konia na 48 godzin „za łamanie prawa”. To była pokazówka siły i upokorzenie.

Walka o paliwo i części zamienne

P: Całe rolnictwo stanęło. Ciągnik potrzebował paliwa na kartki – racje były śmieszne. Bez części do siewników czy pługów nie dało się pracować. Wiosna '82 była dla nas podwójnie trudna. Musieliśmy prosić, kombinować, płacić złotem albo jajami za to, by w PGR czy Spółdzielni dali nam choć litr więcej. Codziennie musieliśmy przejeżdżać obok takich punktów kontrolnych, gdzie żołnierze legitymowali chłopów, szukając bibuły lub „paliwa z lewej”.

Godzina milicyjna na wsi

P: To była izolacja od świata, ale też wzmożona czujność wewnątrz społeczności. Po 22:00 panowały egipskie ciemności. Milicja jeździła po wsiach. Ludzie bali się wychodzić z domów. To było straszne, gdy sąsiad nie mógł przyjść do sąsiada pożyczyć soli, bo bał się, że go złapią.

Reglamentacja, braki i chłopski rynek

W: Na wsi nie brakowało żywności, ale brakowało surowców i towarów przemysłowych. Jak radziliście sobie z tymi brakami?

P: My byliśmy w lepszej sytuacji niż miasto, bo mieliśmy swój chleb, swoje mleko. Ale do życia potrzebne było coś więcej, co musieliśmy zdobywać w inny sposób.

Brak nawozów i środków ochrony roślin

P: To był towar deficytowy, sprzedawany „na lewo” lub na grube znajomości w urzędach. Bez nawozów plony były marne, a to uderzało w nas wszystkich. Pamiętam, jak mąż musiał jechać aż do Końskich, żeby u kogoś z rodziny na

spółdzielni „załatwić” dwa worki saletry. Musiał za to zapłacić wędliną. Nawet zwykły drut do płotu stał się rarytasem. Musieliśmy używać starych, zużytych materiałów, żeby jakoś dotrwać do kolejnego sezonu.

Puste półki mimo kartek

P: Mimo że mieliśmy kartki na towary przemysłowe, w sklepie **nie nie było do kupienia**. Leżały tylko te straszne, brzydkie rzeczy. Dzieci chodziły w łatanym, bo nie było, skąd wziąć. To było upokorzenie życia w znoju. Najgorszy był **brak lekarstw!** Jak dziecko dostało gorączki, a w wiejskiej aptece „nie było”, trzeba było natychmiast jechać do Stopnicy, ryzykując patrol.

Czarny rynek i tajny handel na Ponidziu

P: Handlowało się! Stan wojenny nie zabił kupieckiego ducha. Używaliśmy starych, bocznych dróg, których milicja nie pilnowała tak często.

Sprzedaż na targach i wymiana towarowa

P: Sprzedawało się głównie w Busku-Zdroju, na nielegalnym, przykościelnym targu. Ludzie z miasta czekali na nas. W zamian za kurę czy kawałek boczku dostawaliśmy... **dolary**, bo polski złoty był nic nie wart albo mydło z paczek od Polonii. To była nieformalna sieć ratunkowa, która trzymała nas przy życiu. **Nie byliśmy samowystarczalni, byliśmy solidarni.**

Przemycanie dla opozycji

P: Pamiętam, jak pod koniec 1982 roku przywoziliśmy do Kielc nie tylko żywność, ale i **ukryte ulotki**. Te małe, zwinięte w rulonik, schowane w bochenku chleba, albo pod warstwą ziemniaków w worku. To było ryzykowne, ale wiedzieliśmy, że **informacja to nasza amunicja**. Trzeba było uważać na każdego, kto za dużo pytał.

Kościół, oporność społeczna i wzmożony nadzór

W: Jaka była rola lokalnej parafii w Stopnicy i jak manifestował się opór na wsi?

P: Parafia była **opoką, jedyną legalną przestrzenią wolności**. Nasz ksiądz był odważny. Po ogłoszeniu stanu wojennego, zaczął odprawiać dodatkowe nabożeństwa za Ojczyznę, na których mówił o represjach. Wiara była jedyną rzeczą, której nam nie mogli zabrać.

Solidarność i pomoc internowanym

P: W salkach parafialnych zbierało się dary. To nie były dary tylko dla internowanych z Kielc, ale też dla tych, którzy stracili pracę w Stopnicy. To była sieć pomocy prowadzona przez kobiety. Pamiętam, jak szyłyśmy koce i wysyłałyśmy paczki z jedzeniem, które kupowałyśmy za pieniądze ze zbiórek.

Chłopska konspiracja i ryzyko

P: Oporem na wsi było **odmówienie sprzedaży zboża państwu** po zaniżonej cenie. To było **wspieranie internowanych**. Wiesz, ja miałam w stodole ukrytego przez tydzień syna sąsiada, który uciekł z aresztowania w miasteczku. To było ogromne ryzyko!

Solidarność to nie były ulotki, to była fizyczna pomoc i ukrywanie ludzi. Nasz dom był zawsze otwarty, ale drzwi zamknięte na klucz – dla bezpieczeństwa.

Aresztowania i zdrajcy w społeczności

P: Były aresztowania. Pamiętam, jak jednego rolnika z sąsiedniej wsi wzięli za to, że miał w domu radio tranzystorowe, na którym słuchał „Głosu Ameryki” – doniósł sąsiad. Inny został pobity za to, że podjął się przewozu ulotek. To uczyło nas strasznej lekcji: **największym zagrożeniem jest nie milicja, ale brak zaufania we własnej społeczności.** Strach rodził konfidentów i ta świadomość truła nam krew.

Żmęczenie, blizny i dziedzictwo ziemi

W: Dwa lata minęły. Co zostawił po sobie stan wojenny w świadomości społeczności Topoli?

P: Zostawił **blizny**. Blizny w zaufaniu i finansach. Młodzi uciekali ze wsi, bo nie widzieli perspektyw. Starsi wrócili do głębokiego, cichego marazmu.

Cena wytrwałości i nadzieja

P: Ale zostawił też **wielką dumę**. Dumę z tego, że nikt z nas nie umarł z głodu, że rolnicy wytrzymali, że karmiliśmy miasto, mimo że sami walczyliśmy o części do maszyn. To była nasza, chłopska, cicha **wytrwałość świętokrzyska**. Gdy stan wojenny formalnie zniesiono w 1983 roku była ulga, że żołnierze zeszli z drogi, ale **represje i cenzura zostały**. Prawdziwą wolność poczułam dopiero po 1989 roku.

W: Jaką pamięć powinniśmy kultywować jako potomkowie tych, którzy przeżyli ten czas?

P: Pamiętajcie, kochana. Pamiętajcie, że **ziemia i prawda** to są filary. Wtedy, gdy nie było nic, była ziemia, która dała nam jedzenie i była prawda z Kościoła, która dała nam siłę. Nie dajcie sobie odebrać ani jednego, ani drugiego. I patrzcie, komu ufacie. **Solidarność to jest skarb, o który trzeba dbać każdego dnia.**

W: Babciu Heleno, to jest niezwykle wzruszająca i cenna relacja. Dziękuję.

Wiktoria Misterkiewicz

Czy wiesz, że...

św. Brat Albert Chmielowski walczył w bitwie pod Słupczą?

Adam Hilary Bernard Chmielowski (znany jako św. Brat Albert) urodził się 20 sierpnia 1845 roku w Igołomi. Dorastał w rodzinie szlacheckiej w atmosferze patriotyzmu i wrażliwości na potrzeby innych. Już jako dziecko zwracał uwagę swoją

delikatnością, talentem artystycznym oraz głębokim poczuciem odpowiedzialności za ojczyznę.



Św. Brat Albert na witrażu w kościele św. Ducha w Sandomierzu, fot. Paulina Cieśla

Gdy w 1863 roku wybuchło powstanie styczniowe, siedemnastoletni Adam z entuzjazmem wstąpił do oddziału „Puławiaków”, stworzonego przez Leona Frankowskiego. W jego szeregach walczyli głównie studenci Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-Leśnego z Puław, jednak działania zbrojne oddziału prowadzone były przede wszystkim na ziemiach sandomierskich. To właśnie tam Chmielowski po raz pierwszy doświadczył grozy wojny. Jednym z najbardziej pamiętnych wydarzeń jego powstańczej młodości była bitwa pod Słupczą, stoczona 8 lutego 1863 roku. Oddział Frankowskiego został zmuszony do złożenia obozu z powodu niesprzyjającej pogody. Zaskoczyły ich tam znacznie liczniejsze wojska rosyjskie. Młodzi powstańcy, mimo słabszego uzbrojenia i niewielkiego doświadczenia, podjęli zaciętą walkę na okolicznych wzgórzach i polach. Bitwa była niezwykle krwawa, zginęło co najmniej 28 powstańców, a ci, którym udało się uciec z życiem, byli zmuszeni do odwrotu. Dla Adama Chmielowskiego obraz poległych towarzyszy, ich młodzięnczego poświęcenia i ofiary poniesionej na sandomierskiej ziemi, stał się jednym z najsilniejszych wspomnień tamtych lat, które miało później ogromny wpływ na jego podejście do cierpienia i potrzeby ratowania człowieka

w każdej sytuacji. Później brał jeszcze udział w wielu bitwach powstańczych, był więziony, stracił nogę w wyniku odniesionych ran.

Po powstaniu Chmielowski wrócił do cywilnego życia i rozpoczął studia malarskie, najpierw w Warszawie, później w Monachium. Tworzył obrazy historyczne, pejzaże i dzieła religijne, a jego przyjaźnie z wybitnymi artystami, takimi jak Józef Chełmoński, stanowiły ważny etap jego drogi twórczej. Praca nad obrazem „Ecce Homo” doprowadziła jednak do duchowego przełomu. W coraz większym stopniu zaczął odczuwać, że jego powołanie nie ogranicza się do sztuki, lecz prowadzi ku bezpośredniej służbie ludziom cierpiącym i ubogim.



Adam Chmielowski „Ecce Homo”, 1879 r.

W 1887 roku, w kaplicy Ojców Kapucynów w Krakowie, Adam Chmielowski przywdział szary habit III Zakonu św. Franciszka i od tej pory znany jest jako brat Albert. To wydarzenie rozpoczęło całkowicie nowy rozdział jego życia. Od tej chwili zamieszkał wśród bezdomnych i najuboższych, dzieląc z nimi codzienność. Nie traktował pomocy jako działalności charytatywnej „z zewnątrz”, chciał być jednym z tych, których wspiera. Wierzył, że człowiek powinien być „dobry jak chleb” to znaczy prosty, dostępny dla każdego i niosący życie.

Brat Albert zakładał przytuliska, noclegownie i jadłodajnie, opiekował się chorymi, starszymi i dziećmi ulicy. W Krakowie, Lwowie i Zakopanem tworzył miejsca, w których ubodzy mogli znaleźć ciepło, jedzenie i godność. W Zakopanem prowadził również pustelnię, w której przyjmował nie tylko potrzebujących materialnie, ale także ludzi kultury i sztuki, Stefana Żeromskiego, Stanisława Przybyszewskiego czy Stanisława Witkiewicza. Aby zapewnić trwałość swojemu dziełu, założył dwa zgromadzenia: Braci Albertynów oraz Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim. Ich niezwykle wymagająca misja kontynuowana jest do dziś w Polsce i poza jej granicami.

Życie Brata Alberta, zaczynające się od powstańczej młodości spędzonej wśród puławskiej młodzieży walczącej na ziemiach sandomierskich, poprzez doświadczenia bitew, a kończące się heroiczną służbą najuboższym, ukazuje niezwykle drogę człowieka, który potrafił przemienić osobiste cierpienie w dobro i miłosierdzie niesione innym.

Paulina Cieśla

SANDOMIERSKIE SKARBY

*Pamiątki po tajemniczej księżniczce Adelajdzie
w kościele św. Jakuba w Sandomierzu*



Fot. Renata Stawowy

W sandomierskim kościele św. Jakuba, miejscu nawarstwionych historii, znajduje się zabytek, który od lat rozpala wyobraźnię badaczy. W Kaplicy Męczenników wmurowana jest gotycka płyta nagrobna z XIV wieku, na której widnieje sylwetka kobiety o smukłych proporcjach, ubranej w długą szatę, z dłońmi złożonymi w modlitwie. Obramowanie zdobi łacińska inskrypcja: *Tu spoczywa Adelajda, panna, córka księcia Kazimierza*. Te słowa otwierają drzwi do jednej z najciekawszych zagadek sandomierskich dziejów.



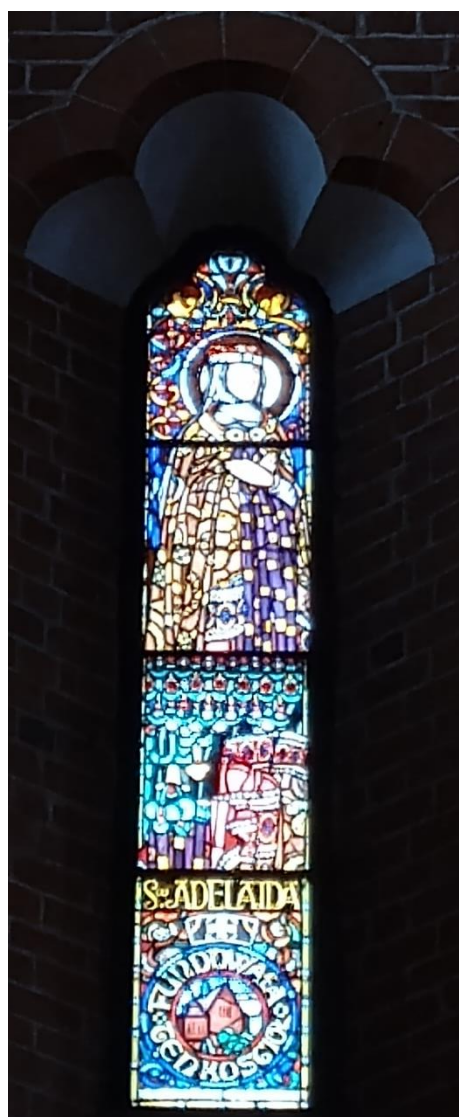
Gotycka płyta nagrobna księżniczki Adelajdy, XIII w., fot. Renata Stawowy

Choć napis zdaje się być jednoznaczny, tożsamość Adelajdy wcale taka nie jest. Historycy od dawna spierają się, kim była kobieta upamiętniona na płycie. Według tradycyjnych źródeł była córką Kazimierza II Sprawiedliwego – księcia krakowskiego, zwierzchniego księcia Polski oraz księcia sandomierskiego i mazowieckiego oraz Heleny, córki Konrada II znojemskiego z dynastii Przemyślidów. Na podstawie inskrypcji i przekazów Jana Długosza ustalano, że zmarła w 1211 roku. Historycy przyjmowali, że była mniszka dominikańska w Sandomierzu, choć nowsze badania sugerują, że mogła również być fundatorką kościoła dominikanów w tym mieście. W XIX wieku pojawiła się alternatywna teoria, że spoczywała tam córka Kazimierza I kujawskiego, zmarła w 1291 roku, jednak pogląd ten został później odrzucony.

Sama płyta była wielokrotnie przenoszona i naprawiana. Pierwotnie znajdowała się na środku prezbiterium, gdzie otaczano ją kratą, ponieważ wierni zbyt często traktowali ją jak zwyczajne miejsce do siedzenia. Dziś wciąż przyciąga wzrok i prowokuje pytania o jej historię. Dlaczego więc nagrobek, niepozorny na pierwszy rzut oka, ma taką wartość? Bo stanowi jedno z najstarszych przedstawień kobiet z kręgu piastowskiego, a jego inskrypcja zachowała się wyjątkowo dobrze.



Fot. Renata Stawowy



Fot. Renata Stawowy

Ślady pamięci o Adelajdzie nie kończą się jednak na gotyckiej płycie. W prezbiterium stoi barokowy sarkofag z 1676 roku, w całości rzeźbiony w dębowym drewnie. Ukazuje młodą kobietę w płaszczu i mitrze, z symbolami czystości ułożonymi w dekoracji. Całość spoczywa na czterech lwach – motywie bliskim sztuce piastowskiej. Wewnątrz znajduje się niewielka trumienka z jej szczątkami, co podkreśla trwałość lokalnej tradycji i szacunek, jakim otaczano tę postać. Nad sarkofagiem wisi imaginacyjny portret domicelli Adelajdy, a z tyłu kościoła jeden z secesyjnych witraży z początku XX wieku autorstwa Karola Frycza jest poświęcony tej Piastównie. Zaś przy wejściu do świątyni w romańskim portalu wyrzeźbiona głowa w koronie jest, według niektórych badaczy, podobizną Adelajdy.



Fot. Renata Stawowy

Adelajda, kimkolwiek była naprawdę – córką Kazimierza II Sprawiedliwego, jego prawnuczką czy fundatorką dominikańskiego kościoła – pozostaje jedną z najbardziej intrygujących postaci zapisanych w kamieniu, drewnie, szkłe i cegle w najstarszym sandomierskim zabytku – kościele św. Jakuba.

Natalia Mazur

Wyjątkowa wystawa bożonarodzeniowa w Muzeum Diecezjalnym w Sandomierzu





Redakcja

Michalina Gąsiorowska (redaktor naczelna), Paulina Cieśla, Martyna Jarosz, Wiktor-Maria Misterkiewicz, Matylda Kunys, Katarzyna Gorycka, Mateusz Chorab, Natalia Mazur, Lena Szubert, Henryka

Okładka

Jakub Cupisz (absolwent CG)

Skład

Zbigniew Drobek

Opieka

Renata Stawowy

